

# Ja, czyli Nikt

AUTOR: HENRYK MAZURKIEWICZ

**Po dwudziestu trzech latach** od powstania powieści Paweł Passini wraca do *Panny Nikt* Tomka Tryzny, wystawiając spektakl o tym, jaką cenę płacimy za prawo i przywilej bycia sobą.

■ Kiedy uwięzionego w pieczarze Odyseusza zacznie brać na spytki cyklop Polifem, sprytny Grek odpowie, że ma na imię Nikt. Cóż pozostać synowi Posejdona, któremu król Itaki następnego dnia wypali jedyne oko? Tylko krzyknąć, szalejąc z rozpacz i bólu, że zrobił to Nikt. Dobrze znamy tę historię, mającą być przykładem ludzkiej przebiegłości w obliczu niespodziewanych wyzwań losu. Nie zawsze zaś pamiętamy o tym, iż nieszczęsnemu cyklopowi, mimo wszystko, udało się wyblagać u ojca krwawą zemstę dla krzywdziciela. Odyseusz straci wszystkich swoich wiernych towarzyszy i wróci do domu w zupełnej nędzy. Dlatego ta opowieść ma drugi, mniej oczywisty morał. Głosi on, że chociaż niekiedy tylko wyrzeczenie się własnego imienia może uratować życie, bezpieczniej grać jest z ogniem niż z własną tożsamością.

Nie bez znaczenia pozostaje również fakt, że w czasach, gdy Homer za pomocą śpiewanego heksametru opowiadał o przygodach Odyseusza, na całej planecie mieszkańców było niewiele więcej niż obecnie w Polsce. Z pewnością więc demotywator bezapelacyjnie stwierdzający: „Cokolwiek robisz naprawdę dobrze, zaraz znajdzie się siedmioletni Chińczyk, który robi to siedem razy lepiej”, byłby dla starożytnych Greków kompletnie obcy i niezrozumiały. Wcale nie dlatego, że Państwo Środka jeszcze nie było odkryte i opisane, sam zaś środek świata, tzw. *omfalos*, znajdował się w świątyni Apollina w Delfach, a na Internet trzeba było poczekać ponad dwa i pół tysiąca lat. Po prostu nie wyczuwali tej presji. Nie mieszkali w świecie, gdzie ludzi liczy się na miliardy. Takimi liczbami, jak się wydaje, nie zaprzętały sobie głowy nawet pokręceni na ich punkcie pitagorejczycy. Wnikliwie, nie bez ironii i goryczy, mając przed oczyma prawie trzymi-

lionowe Buenos Aires, rozważał o tym w swym *Dzienniku* Gombrowicz. Lecz dla nas, żyjących w epoce przyspieszenia i neurotycznego pstrykania selfie, nie tylko przyszłość nie jest już taka jak kiedyś. Samo bycie kimś, w świecie memów i awatarów, stało się czymś innym niż niegdyś.

Ale skończmy z socjologią i statystyką i przejdźmy do nauk mniej ścisłych, ale nie mniej ważnych. Bowiem i Paweł Passini najciekawszy jest właśnie wtedy, gdy sięga po Jungowską psychologię, fenomenologię stanów skrajnych, mistykę snów i owe „historie o cyklopach”, a nie po diagnozy społeczne. I jak to nie raz już było, pomaga mu w tym Artur Pałyga. Reorganizując tekst Tryzny, dystansuje się on zarówno od późnopeerelowskich realiów, jak i od topografii Wałbrzycha. Wykreśla, tnie, miesza i montuje kolejne fragmenty, zostając przy tym zadziwiająco blisko oryginału.

Duża Scena Wrocławskiego Teatru Współczesnego jest cała w pęknięciach i szczelinach. Wydaje się, że za chwilę rozpadnie się na poszczególne kawałki, na wielkie dryfujące góry szarego cementu. Wygląda to tak, jakby z góry spadł tytan (Polifem?) nieludzkich rozmiarów, pozostawiając na pochyłej platformie olbrzymią dziurę-krater. Panuje tu ogólne przechylenie, skrzywienie i załamywanie się. To, co równe i symetryczne, wygląda jakoś „wewnętrznie” krzywo. Nawet czas w spektaklu nie chce, jak zwykle, biec po linii prostej. Robi pętle i tka pajęczyny. Może dlatego innym ważnym elementem scenografii są liczne siatki. Wertując książkę po obejrzeniu spektaklu, odnalazłem fragment opisujący jeden ze snów głównej bohaterki: „Wreszcie jakoś te oczy otwieram, a wszystko w pokoju stoi krzywo. Patrę, patrę... i co widzę? A to, że nie wszyst-

ko jest krzywe, że tylko ja wiszę w powietrzu ukośnie przechylona”. Bardzo chciałbym wierzyć, że podobne drobnostki inspirowały Passiniego i scenografkę Zuzannę Srebrną.

Tytułową Panną Nikt jest Marysia Kawczak (Katarzyna Pietruska) z wielodzietnej rodziny szeregowego górnika. Poznajemy ją jako wstydliwą, niepewną siebie, pobożną i, pod wieloma względami, bardzo jeszcze dziecinną piętnastolatkę. W ciągu trzech godzin spektaklu zdąży zmienić się nie do poznania. A wszystko to za sprawą dwóch nowych przyjaźni. Najpierw spotyka ubraną jak cyganka Kasię (Aleksandra Karpiuk), która żyje komponowaniem, ma dobrze zarabiającą matkę – lekarzkę i ojca, Francuza mieszkającego w Afryce. Jest odważna i dziarska, śmiało zadziera z nauczycielami w szkole i nie daje „łapówek” Bogu. Nie chodzi do kościoła i nie „odbębnia” różańca. „Bo to wolność jest tą modlitwą, która przynosi Bogu największą radość. Módl się do Niego swoją wolnością” – naucza wchłaniającą każde słowo Marysię, którą nazywa Minką. Za pomocą spowiedzi-melorecytacji Kasia wyznaje swoją główną tajemnicę i swój główny grzech. Od jakiegoś czasu zadaje się z tajemniczym Dżigim, który zagnieździł się w jej ciele i trzyma „klucze od świata muzyki”. Pożera ją od środka, a może już ją zjadł.

Przedstawienie, jak książka, podzielone zostało na dwie części. Pierwsza z nich kończy się pożegnaniem Marysi-Minki z Bogiem, który, jak się okazuje, „jest dobry tylko dla niektórych”. Córka, która tylko udawała grzeczną dziewczynkę, odchodzi od Ojca Niebieskiego. „To nie jest przecież nasza córka, tylko jakaś obca dziewczucha” – powie za chwilę jej ziem-ska matka. I rzeczywiście, Katarzyna Pietruska w trakcie piętnastu minut przerwy jak gdyby zestarzała się o dwadzieścia lat. Być mo-

WROCLAWSKI TEATR  
WSPÓŁCZESNY

*Panna Nikt*  
wg powieści  
Tomka Tryzny

scenariusz  
Artur Pałyga  
reżyseria  
Paweł Passini  
scenografia  
Zuzanna Srebrna  
kostiumy  
El Bruzda  
światło  
Katarzyna Łuszczak  
muzyka  
Łukasz Wójcik

prapremiera  
20 maja 2017

Scena zbiorowa



foto: Natalia Kabanow

ze o całą wieczność. W ten sposób gnostycka „Ewangelia Kasi” ustępuje miejsca manichejskiemu apokryfowi Ewy (Milena Staszuk), jej nowej najlepszej i jedynej prawdziwej przyjaciółki. Rodzina Ewy to zblazowani nihilisci, hedoniści walczący z adhedonią. W ich mieszkaniu pachnie cygarami i dżinem. Trafiając do nowego towarzystwa, Marysia-Minka staje się Marysią-Majką. Niczym nową skórę zakłada czarny strój i kolejną maskę. Wymyśla sobie na nowo w tym świecie luster bez odbicia.

Przyjaciółki składają sobie nawzajem obietnice dożywotniego posłuszeństwa. Wystarczy jedno krótkie słówko „rozkaz”. Kryje się w tym, z jednej strony, słodka ucieczka od brzemienia wolności i podmiotowości, z drugiej – skrajna i perwersyjna forma miłości. Najbardziej przerażającym jej przejawem staje się scena klęczenia Ewy (oczywiście z rozkazu Marysi-Majki) z podniesionymi rękoma wśród śmieci. Żadnych śmieci nie widzimy. Nie czujemy smrodu. Nie słyszymy brzęczenia much siadających na twarz dziewczyny. A jednocześnie to wszystko widzimy, czujemy i słyszymy. Ewa krzyczy, ryczy, wzdryga się, klnie. „Nie myślałam, że jesteś taka wstrętna” – mówi do swojej władczyni. „Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz” – odpowiada ta z szalonym uśmiechem.

Passini świetnie radzi sobie z rytmem przedstawienia. Żaden fragment nie dłuży się ponad miarę. Zachowuje też umiar w nagroma-

dzeniu i współwystępowaniu różnych elementów scenicznych. Zastanawiałem się jedynie nad niezbednością licznych, przypominających smartfony, ekranów. Niektóre wideoprojekcje zaproponowane przez Marię Porzyc i Agnieszkę Waszczeniuk, jak chociażby ciągle pojawiające się i znikające twarze aktorów, przeładowały nieco możliwości percepcyjne widza. Poza tym wszystko świetnie się uzupełnia, współgra i kontrpunktuje. Napięcie rośnie od sceny do sceny. Poetyka zmienia poetykę. Kulminacją zaś staje się swoista mieszanka balu u Wolanda z *Mistrza i Małgorzaty* i szalonego przyjęcia Królowej Kier z *Alicji w Krainie Czarów*. Na osobne brawa zasługuje kreacja Katarzyny Pietruskiej. Prawie trzydziestoletnia aktorka zagrała piętnastolatkę, sprawnie mieszając konwencję z inwencją, przewidywalne z instynktownym. W spektaklu potrafiła być zarówno autentycznie bezbronna, wrażliwa, niewinna, jak i bezwzględnie okrutna, szalona i interesowna.

Duet Passini/Pałyga nie szczędzi pomysłów i rozwiązań scenicznych. Komplikując sprawę, otwierając kolejny nawias, ścieżkę interpretacyjną, osobny świat, wprowadzają oni do przedstawienia zagadkową postać Pana Nikt, której nie było u Tryzny. Jest szczególnego rodzaju obserwatorem, przejętym losem Marysi, lecz niewiele mogącym zdziałać, by ją uratować. Przyglądałem się uważnie Krzysz-

tofowi Boczkowskiemu i byłem zachwycony jego szczerością. To świetna rola, wymagająca szczególnego rodzaju wrażliwości. Wszystko, co widzimy na scenie, rozgrywa się jednocześnie gdzieś głęboko w ciele i duszy aktora.

Pojawiają się w przedstawieniu i obecna w kulturze Zachodu od czasów Homera symbolika wyboru drogi życiowej, i bogata metaforyka maski, i monolog poświęcony rozważaniom o istocie bluźnierstwa, i wspaniała, godna najlepszych renesansowych wzorców, alegoria rozumu jako pięknego pałacu, w którym niektórzy wolą przesiedzieć całe życie pod ciasną klatką schodową. Gdyby jednak odważyć się streścić cały spektakl w jednej krótkiej sentencji, dla mnie byłyby nią słowa Marysi: „Człowiek bardzo potrzebuje kogoś, kto go bardzo potrzebuje”. Za proste? Ociera się o naiwność? Pamiętajmy, że te słowa autor wkłada w usta piętnastolatki. Być może właśnie dla tym podobnych myśli Tryzna potrzebował historii o dojrzewaniu. Bo jak inaczej obecnie powiedzieć wprost, jak uczynił to swojego czasu Tarkowski w *Solaris*, że człowiek potrzebuje człowieka, i nie wyjść na moralizatora i prostaczka? Chcemy tego, czy nie, Inni to nie tylko piekło, ale też czyszciec, niebo i jedyna szansa na ukształtowanie własnego „ja”. A dopłynąć do swojej Itaki pragną zarówno dorośli naukowcy w stacji kosmicznej, jak i małe dziewczynki z Wałbrzycha. ■